TEN ŚMIERTELNY

# Z kraju dziwnego głodu

Pokonując kilometry za kilometrem, z prędkością kuli wystrzelonej z rewolweru, właśnie zmierzałem by odwiedzić kraj pożywienia, w którym to ludzie ciągle umierają z głodu. Miałem tam siostrzeńca, którego pod przysięgą, złożoną zmarłej mej obecnie, siostrze, w godzinę jej zapaści, zobowiązałem się przywrócić ojczyźnie i uchronić od śmierci głodowej. Było to zadanie trudne i wtedy nawet trochę żałowałem, tak łatwo raz danego przyrzeczenia, jakiego nie wolno mi było przecież teraz złamać.

Kraj pożywienia, rozciągał się szeroko hen, aż pod równinę Saską, mijał łukiem Siedmiogród i kończył się z jednej strony górą Przeznaczenia i wytryskującym z niej potokiem Powinności, z drugiej zaś Wielkim Morzem Bezkresu, nad którego plaże powszechnie i chętnie zmierzali turyści, wszelkich stron ojczyzny żywności.

W tej kupie ludzkiego bezmiaru, oceanie osobliwości, ciężko byłoby znaleźć mego krewnego; syna siostry jednej matki. Posiadałem jednak pewne namiary, przezornie też nim przyjechałem wynająłem detektywa; nie szczędząc środków, ani czasu, na dopełnienie powierzonej mi misji.

Gdy wysiadłem z samolotu i wreszcie przeszedłem odprawę celną, mogłem z bliska przyjrzeć się miastu. Myśli moje były pogodne, bowiem jeszcze dnia poprzedniego wynajęty przeze mnie szpicel, donosił skwapliwie o odnalezieniu celu i przesyłał namiary: „Miasto: Hamburger. Ulica: Smaczna trzydzieści.”.

Metropolia trzecia pod względem wielkości, położona w rejonie suchym i ciepłym. Nowoczesna zadbana i modna. Ruszyłem kształtnym chodnikiem i rozkoszowałem się nowymi widokami. Każdy dom miał taras marmurowy i w każdym ogrodzie była fontanna strzelająca w górę; pod słońce tęczą się mieniąca.

Widziałem też rośliny nietypowe. Cukierkowy krzak rodzący słodycze. Drzewo parówkowe do naszego kiełbasowego analogiczne, tyle, że miast owoców udających kiełbasę, płodzi coś na kształt parówek, lecz również niesmaczne i niepożyteczne. Nadto wiele brzozo-grusz wspaniałych, mających jednak jeszcze niedojrzałe owoce – a już w większości zerwane i ponadgryzane.

Piękny byłby to kraj, gdyby nie jego obyczaje. Ludzie toczyli się wolno, wszyscy – istne szkielety. Każdy coś żuł, wszyscy cierpieli głód okropny. Idąc rwali liście i trawę i szybko wpychali do ust, z których od razu znaczna cześć wypadała. Nie zważając na to, przeżuwali dalej i rozglądali się za czymś kolejnym.

Z niepokojem patrzyłem jak łapczywie pożerają niedojrzałe plony, połykają co tylko w rękę wpadło i wciąż szukają więcej. Wielu też wymiotowało; jedni na ulicę, inni trawę, drzewa, gdzie zaraz zostawali oskarżeni o niszczenie żywności i spotykały ich obfite rózgi, od współziomków tragedii.

Nie minąłem jeszcze dwóch przecznic, a już napotkałem na dwa trupy. Wychudzone ich ciała, zapadłe policzki, kości pokryte skórą, napełniały mnie obrzydzeniem i przerażeniem, oraz niepokojem o cel mej wędrówki.

Stary – czy młody, siwy – czy w kwiecie wieku, los wszystkich czekał jeden. A ja miałem wyrwać kogoś z tej młockarni. Splunąłem i przyspieszyłem kroku.

Nie obyło się bez trzech przesiadek. Przebyłem szmat drogi. Znalazłem wreszcie i budynek. Zadzwoniłem do drzwi.

– Kto tam?

– Wujek Ambroży.

– Kto?

– Brat twojej matki, z rodziny matki. Otwórz i zobacz.

Zza lekko odchylonych drzwi, zabezpieczonych łańcuchem, ukazała się twarz młodzieńca żującego w ustach kępki trawy. „Wychudły i wyczerpany łaknieniem. Ale – dzięki Bogu! – żyje.” – pomyślałem.

– No już… Otwórz drzwi, przywiozłem dla ciebie coś smacznego! – źle zacząłem. Młodzi skłonni sądzić, że pożywienie starych straciło termin ważności i nie nadaje się do niczego.

Młodzieniec wykrzywił twarz w zniechęceniu. Ciekawość jednak i głód zachęciła go do otwarcia. Czyż w końcu nie dostaje się czasem, dobrych prezentów od zamożnych wujków? No i przecież nie byłem jeszcze na tyle stary…

– Co?… Co mi przyniosłeś? – zapytał po zdjęciu łańcucha. Teraz też przyjrzałem mu się w całej okazałości – skóra i kości – jak wszyscy w mieście…

– Niespodzianka. Zamknij oczy, a się dowiesz – zachęciłem.

– Ech…

– No już! Bo nie pokażę!

Zrezygnowane dziecko zamknęło wreszcie powieki. Wtedy ja zrobiłem duży zamach i… przywaliłem mu w głowę. Padł jak martwy.

Był to środek niezbędny, choć problematyczny. Długo zastanawiałem się jaka siła wystarczy, by ogłuszyć go na dobre, a jednocześnie nie zabije jego osłabionego ciała. Koniec końców przyfasoliłem dosyć mocno. Cóż… przynajmniej skutecznie.

Rozejrzałem się czy nikt tego nie widział. Na szczęście zdawałem się mieć szczęście; żył – podwójne. Zaciągnąłem go do środka i związałem. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Po dwóch godzinach obudził się jęcząc. – Co jest? – majaczył lekko, lecz zaraz spostrzegł przypiętą do jego dłoni kroplówkę i własne pęta. – Co jest do cholery!? – widać rozbudził się na dobre.

– Och, to tylko kroplówka – odpowiedziałem uśmiechnięty, z fartuchem założonym na garnitur. – Jednak

ona sama nie wystarczy, będziesz musiał jeść – orzekłem.

– Jeść!? Przecież ja nic innego nie robię tylko wciąż jem!

– Nie sądzę – pokręciłem głową. – Gdybyś jadł nie byłbyś taki chudy i wyczerpany…

– Zamknij się! Coś ty mi zrobił!? Rozwiąż mnie natychmiast!

– O nie…

– Natychmiast!!! – krzyknął, lecz zaraz przestał. – Boże, jaki ja jestem głodny!

– Zupa już się grzeje – zapewniłem skwapliwie.

Siostrzeniec chciał już użyć swych rąk i wepchać sobie byle co do gęby, jednak powstrzymał go sznur. – Uch! – stęknął. – Rozwiąż! Rozwiąż mnie szybko! umieram z głodu!

– Tak, tak, zupa już prawie gotowa.

– Jaka tam zupa! Daj mi tu trawy, a zaraz muszę spieszyć na dziedziniec republiki, na darmową wyżerkę. Prędko! Umieram z głodu!

Postanowiłem puścić jego narzekania mimo uszu. Zupa była już gotowa, a właściwie to, co optymistycznie zupą nazwałem. Nie był bowiem jeszcze gotowy spożywać prawdziwego posiłku. Był to jakiś tam lekkostrawny syrop, mojego pomysłu.

– No już. Powiedz „a”.

– Aaaa! Gul! gul! gul!– krzyknął, gdy za pomocą lejka wlałem mu zawartość garnuszka do buzi.

– Tfu! Co to było!? Zupełnie bezsmakowe!

– Nie bardziej, niż trawa – zripostowałem.

– Słuchaj moja buzia jest otwarta na wszystkie składniki świata, lecz chyba mam prawo wybrać co mi bardziej odpowiada i smakuje… – zaczął pretensjonalnie.

– Nie, nie, nie – odparłem. – Nie sądzę byś miał jakiekolwiek prawa, po tym jak już przekroczyłem progi tego domu.

– Co!? Do diabła z tym! Rozwiąż mnie teraz!

– Nie.

– Rozwiąż.

– Może po tygodniu.

– To napad! Uprowadzenie! Ograniczenie mojej wolności, porwanie!!!

– Hmm… Myślałem, że było to dla ciebie jasne, gdy tylko zobaczyłeś, że jesteś związany…

– Co!?

– To jasne, że cię porwałem! – odrzekłem poważnie z naciskiem. – Zamknij mordę i bądź cicho, bo inaczej skręcę ci kark!

– Nie ujdzie ci to na sucho! Nie w państwie prawa! Złapią cię i postawią przed sądem! Odpowiesz za to, co mi zrobiłeś! Słuchaj no ty!… – przerwał gdyż przystawiłem mu ostrze katany do szyi.

– Jak widzisz, jestem uzbrojony. Zabiję każdego kto wejdzie mi w drogę – to chyba dosyć logiczne myślenie, czyż nie? Twoje państwo prawa, zamieszkują takie mizeroty, że z moją siłą wytnę całą armię nim ktoś mnie pojmie. Więc zamknij się i bądź cicho.

Umilkł. Nie sposób było sprostać takiej logice.

– Słuchaj… – zaczął po jakimś czasie pokorniej. – Pieniędzy nie trzymam w domu, jeśli chcesz podam ci kod, a kartę mam w portfelu… Nie sądzę też, by ktoś był wstanie zapłacić za mnie okup…

– Och… Szczegóły zostaw mi… Wiem co robię.

Spojrzał na mnie z nienawiścią, chciał coś powiedzieć, jednak zaraz opuścił głowę. – W każdym razie proszę, daj mi szybko coś do jedzenia… Burczy mi w brzuchu i siły mi odchodzą…

– Póki co wystarczy, że przetrawisz zupkę…

– Nie rozumiesz! Jeśli zaraz czegoś nie zjem, umrę! Nie chcesz chyba zostać mordercą.

– To ty niczego nie rozumiesz, nawet jeśli dałbym ci więcej zaraz wszystko byś zwymiotował.

– Nie… – zaczął, lecz zaraz treść żołądkowa podeszła mu do gardła. – Umm… – Zamknął usta by nie zwrócić w pokoju.

Zaniosłem więc to piórko do łazienki i ze spokojem wpatrywałem się jak wymiotuje obficie do wanny. Czego tam nie było! Metalowe śrubki, kłaki, kawałki cegły, jakiś granulat, kości… – Chyba powinienem zrobić mu wpierw porządne pukanie żołądka… – pomyślałem, lecz było już na to za późno.

Gdy skończył, wlałem mu do buzi jeszcze trochę wody i zmusiłem by to powtórzył. Roztrzęsionego położyłem na łóżku. Czas było przygotować więcej syropu.

Nie miał siły się opierać. Po chwili, znów z pomocą lejka wlałem mu do środka, solidną porcję mego specyfiku.

Gdy po jakimś czasie znów doszedł do siebie, zaczął znów majaczyć o głodzie i błagać o coś do przegryzienia. Człowiek potrafi zaskakująco dużo znieść i ma nad wyraz mocne ciało…

– Prawem każdego obywatela państwa pożywienia, jest ciągły dostęp do wszystkich środków żywności – dowodził. – Nawet więźniowie w swych celach i najwięksi przestępcy, mają zapewnione warunki godziwego bytu. Odmawianie mi udzielenia pokarmu, jest znęcaniem się i podłą zbrodnią. Nie wytrzymam więcej, bez jedzenia… umfum… mum… – zakleiłem mu usta taśmą klejącą.

– Wiesz naprawdę jestem bratem twojej matki. Mam nadzieję, że będziemy dobrze się dogadywać…

– Umum… – daremnie próbował coś odpowiedzieć. Uśmiechnąłem się szeroko. Zawsze sądziłem, że lepiej się z kimś rozmawia, gdy zaknebluje mu się usta.

– Nie wiem czy wiesz o tym, lecz twoja matka zmarła niedawno. Przyjechałem tutaj z jej polecenia, by przywrócić ci rozum.

– Umum…

– Kraj pożywienia to z pewnością cudne miejsce. Niestety wszyscy jego mieszkańcy oszaleli.

– Umum…

– Zdaje im się, że ubóstwiają jedzenie i niemal ciągle jedzą, w rzeczywistości zaś nic nie spożywają.

– Umum…

– Jeść, spożywać, żywić się – to znaczy trawić i wchłaniać w siebie wartości odżywcze. Odżywiać siebie. Budować swoje ciało, mięśnie, kości i organy wewnętrzne, z materii, którą się spożyło…

– Umum…

– By jeść, nie wystarczy żuć. Nie wystarczy nawet przełykać. Trzeba trawić… Trawić, przetrawiać i wydalać to, co zbędne…

– Umum…

– Właściwie rzecz biorąc proces wydalania, rozpoczyna się jeszcze wcześniej. Ono powinno być nawet początkiem. Wydalić znaczy bowiem wyrzucić – pozbyć się zbędnego balastu. Tak też i człowiek zanim włoży cokolwiek do ust, powinien zastanowić się czy czasem to nie jest balast zbędny, którego należy się pozbyć…

– Umum… Umum…

– A nawet jeśli już włoży do ust, czy czasem nie powinien wypluć…

– Umum… Umum…

– Tak, tak, masz rację drogi przyjacielu. To bardzo istotna kwestia!

– Umum… Umum… Umum…

– Powiedziałeś przecież, że usta twoje otwarte są na wszystkie składniki… Niedobrze! Niedobrze! Twe usta powinny być bowiem zamknięte na kauczuk, plastik, korę drzewną, trawę, metal… To wszystko są rzeczy niejadalne, a czasem nawet i szkodliwe…

– Umum… Umum…

– Nawet jednak rzeczy jadalne, nawet najwspanialsze i najzdrowsze składniki, na nic się nie zdadzą, jeśli nie zostaną należycie przetrawione.

– Umum…

Do licha! Znudziła mi się taka rozmowa! Zerwałem zatem taśmę…

– Ty szalony fanatyku! W dupie mam twoją ideologię! Daj mi… – zakleiłem z powrotem; z dwojga złego, tak jest jednak lepiej…

– Idę pooddychać świeżym powietrzem – powiedziałem jak palacze, gdy idą zapalić i pomyśleć. Z tym drobnym jedynie szczegółem, że ja rzuciłem już dawno temu…

Wyszedłem na balkon. Ręką wykonałem taki ruch, jakbym wyciągał paczkę, brał jednego i zapalał zapalniczką. Złapawszy w dwa palce wyimaginowanego papierosa, zaciągnąłem się powietrzem.

Jak mówią: „wszystko to psychologia”. Powoli i z pietyzmem wypuściłem z płuc powietrze, wzbogacone dwutlenkiem węgla. – Czy w ten sposób naprawdę nie jest łatwiej myśleć? – pomyślałem i zaciągnąłem się znowu.

Paląc tak tlen, powoli rozglądałem się wokoło; dumałem.

Mieszkańcy kraju pożywienia nie mogą oderwać się od jedzenia. Ciągle cierpią głód okrutny, ciągle muszą coś żuć, coś połykać i gryźć. I to nazywają konsumpcją… Jednak nic… Kompletnie, nic nie rozumieją…

Zdaje im się, że jeśli na chwilę przestali by spożywać zaraz umarliby z głodu, jednak właśnie dlatego, że ciągle coś spożywają – bez myślenia, bez rozważania i rozdzielania; bez klasyfikacji: „jadalne – niejadalne" – właśnie dlatego umierają z głodu…

Zaciągnąłem się mocno i powoli wypuściłem powietrze, wyobrażając sobie, że dym unosi się do góry.

Ich ciała schną, skóra przylega do kości, oczy gniją w oczodołach… Bo wcale nie trawią. Porządny posiłek, pokarm, który wchodzi do środka i odżywia nasze ciało, sprawia, że człowiek jest najedzony przez dłuższy czas. Już samo to ciągłe odczuwanie przez nich głodu, świadczy o tym, że naprawdę nigdy porządnie się nie najadają…

– Ciekawe czy młody kiedyś to zrozumie i podziękuje mi za to, co muszę zrobić… – pomyślałem i wróciłem do mieszkania.

Widać było, że próbował się wydostać. Jeszcze się nie poddał? – To mój siostrzeniec! – pomyślałem z dumą. Daremne jednak były to próby.

– Słuchaj! – nakazałem mu. – Idę zaraz kupić coś do jedzenia. Zerwę ci teraz taśmę z ust i będziesz miał chwilę by polecić mi parę miejscówek. Pamiętaj, że jestem tutaj nowy, więc nie orientuję się w terenie, a ty będziesz musiał jeść wszystko, co ci ugotuję.

Posłuchał. Gdy pozwoliłem mu mówić, szybko na wydechu przedstawił mi całą listę zakupów i miejsc. Zanotowałem wszystko skrupulatnie w głowie. Gdy skończył, taśma wróciła na swoje miejsce.

– Dzięki! – Rzuciłem na koniec. – Teraz wiem, od czego trzymać się z daleka. Nie sądziłeś chyba, że sięgnę po coś, co doprowadziło cię do tego stanu.

– Umum!… Umum!… Umum!… – jego rozpaczliwe próby, odprowadziły mnie do drzwi. Uśmiechnąłem się.

Prawdą było, że muszę zakupić jakieś żarcie. Prawo zabraniało mi przywieść do kraju pożywienia, wystarczającej ilości składników. Postanowiłem, że będę żywił się na miejscu, a skromne zapasy przeznaczę na podbudowanie mego wychowanka.

Poza tym rozsądne było, żeby rozejrzeć się po mieście. W końcu będę musiał go potem nauczyć, jak samemu sobie radzić.

Ruszyłem więc chodnikiem i zacząłem poszukiwania. Nie brakowało sklepów sprzedających niejadalne gówno, które i tak znajdowało nabywców, wpychających je sobie zaraz do buzi.

Sam ten widok wzbudzał we mnie obrzydzenie i skłaniał do nudności. Nic jednak nie mówiłem, tylko kręcąc głową szedłem dalej. Po jakiś dwóch godzinach kluczenia, znalazłem w końcu jakąś wyglądającą na przyzwoitą, knajpę.

Wszedłem do środka. Pachniało przyjemnie. Siadłem i wybrałem z menu specjalność dnia.

Zupę przygotowano bardzo szybko. Podejrzliwie przyjrzałem się jej dobrze. Pachniała znośnie, mieszając łyżką nie dostrzegłem niczego paskudnego. – Czyżbym miał wyjątkowe szczęście? – pomyślałem i spróbowałem ociupinkę.

Zwykła pomidorowa – a przynajmniej na to wyglądało. – Chyba nie jest tak źle jak myślałem… Jest jeszcze nadzieja dla kraju pożywienia – skonstatowałem.

Nim jednak zjadłem choć połowę, pojawił się mistrz kuchni i zanim spostrzegłem się co zamierza, dorzucił mi do talerza żywego karalucha! – Plusk! – Prusak trząsł się jak w febrze, rozpryskując lekko zupę

poza porcelanę.

– Co pan u licha zrobił!!?

– Specjalność zakładu, dodatkowy bonus.

– Co pan myśli, że będę wpieprzał żywego karalucha!? – wściekłem się. – Przez pana zupa nadaje się teraz tylko do tego, by wylać ją do kibla!

– Jeśli żywy panu nie odpowiada może pan zabić go łyżką.

– W ogóle nie gustuję w karaluchach. Co to w ogóle za pomysł? Trzeba było się najpierw spytać, a nie tak z miejsca, dorzucać mi coś do talerza… W opisie menu, nic nie wspominano, że ma być to zupa z karaluchem.

– To właśnie taki bonus niespodzianka.

– Nie lubię niespodzianek. Wiele jeszcze ich planujecie? Co dalej? wymiociny, jako popitka? Mało pawia nie puściłem. Trzeba było mnie chociaż ostrzec; spytać czy mam na to ochotę… A tak, teraz, więcej nie będę jadł i żądam zwrotu pieniędzy.

Szef kuchni obruszył się. – Zawsze może pan przecież zjeść zupę, a karalucha zostawić…

– Żartuje pan sobie!? Tak jak powiedziałem, teraz to nadaje się jedynie do tego, by wylać to do klozetu!

Obsługa była oburzona. – Co za brak profesjonalizmu konsumpcyjnego! Osądzać negatywnie posiłek, przez jednego małego karalucha! Na podstawie jednego małego fragmentu, zrugać całe danie!

– Co wy!? Nigdy nie słyszeliście, że mała mucha może zepsuć drogocenny olejek? – zirytowałem się. – To oczywiste, że mała rzecz może zepsuć wszystko! Smakowało mi, lecz teraz straciłem cały apetyt i żądam zwrotu pieniędzy!

Nic jednak nie udało mi się wskórać. Trzech osiłków, o ile wypada nazywać takich cherlaków osiłkami, wyrzuciło mnie z baru. Dobrze, że nie wziąłem ze sobą katany, inaczej pochlastałbym ich na plasterki. Trochę się zapomniałem, byłem przecież w ojczyźnie pożywienia…

A jak mówią – co kraj to obyczaj. Podejrzewam, że i tak właściciele tej miejscówki należeli do tych uczciwszych. – Mogłem nie robić takiego cyrku… – uznałem poniewczasie, podnosząc się z ulicy.

Rozejrzałem się wokoło – nikt nie zwrócił na mnie uwagi. – Pewnie, że nie! – pomyślałem. – Jak mieli się mną zainteresować, kiedy wciąż myślą jedynie o swoim żołądku?

Czułem się niedobrze; pomyślałem, że tutejszy klimat mi szkodzi. Czas było wrócić do domu i zajrzeć do młodego. – Jeszcze sobie coś zrobi z samotności… – zaśmiałem się sam do siebie.

Nagle jednak poczułem silne skurcze, złapałem się za brzuch i zgiąłem w pół; dostałem silnych torsji. A jednak, było gorzej niż myślałem; niepozorna zupka, musiała zawierać w sobie więcej bonusowych niespodzianek… A ja nie miałem żołądka tak wyćwiczonego jak tutejsi; nie żeby im to rzeczywiście jakoś, na dłuższą metę, pomagało…

To miał być ciężki miesiąc – o ile miesiąc wystarczy… Dysząc i zipiąc, szukałem oczami, przedstawicieli prawa. Pusto. Szczęście w nieszczęściu.

Kraj pożywienia przeznaczał ogromne środki finansowe, na walkę z epidemią nudności. Podjęte działania zaczynały się od finansowania darmowych szkoleń, radzenia sobie z rzygowinami, a kończyły na budowie więzień dla „nudystów recydywistów” – gdyż tak właśnie, bezsensownie, oficjalnie nazywano tych, którzy zbyt często ulegali naturalnym impulsom, każącym im zaraz zwrócić cały posiłek na podłogę.

Jak na ironię, mimo olbrzymich środków, przeznaczonych na walkę z epidemią, nigdzie nie szerzyła się ona tak mocno, jak tutaj. Nikomu zaś nie przychodziło do głowy, że może w jedzeniu jest jakiś feler i to

ono jest właśnie powodem całego nieszczęścia.

Ciągle narzekano jak to „nudyści" przeszkadzają im i psują radość z życia, jakby sami byli w czymś od nich lepsi. Być może najgorszą głupotą było postępowanie wyszkolonych, tamujących co naturalne; skracających swoje życie nieczystościami.

Nie twierdzę, że powstrzymywać się jest źle. Daleki jestem od takich fałszywych nauk. Nie brakuje bowiem takich, którzy radzą, by zwracać jak najczęściej i gdy tylko najdzie nas, choć najmniejsza na to ochota.

Nietrudno wyobrazić sobie, do czego to prowadzi – zwłaszcza w kraju pożywienia, gdzie na każdym kroku można dostrzec jakieś obrzydliwości. Gdy człowiek zacznie tak żyć, wymiotuje bez opamiętania, aż w końcu uzależnia się od tego – i w efekcie umiera z głodu i wyczerpania.

Trzeba podchodzić do tego logicznie. Torsje to naturalna, obronna, reakcja organizmu, który nie chce spożywać czegoś, co mu szkodzi. Nie ma sensu się przed nią bronić, gdy pokarm jest do niczego.

Co innego, gdy po zjedzeniu zdrowego, obfitego posiłku, napotkamy na jakąś obrzydliwość, która wywoła w nas nudności. Wtedy lepiej się jednak powstrzymać. Jedzenie jest w porządku, nie ma sensu byśmy nie strawili tego, co dobre.

Oto cała filozofia! Nic prostszego, szkoda jednak, że tak niewielu chce tego słuchać. Wszystko zaś sprowadza się do tego by z tym uważać. Jeśli po zjedzeniu czegoś, dowiemy się, że zawierało w sobie truciznę, nieraz trzeba wywołać u siebie wymioty – choćby się nawet nie chciało.

– Kanapki z arszenikiem! – krzyczał obwoźny kupiec. – Kanapki z arszenikiem, w atrakcyjnej cenie!

Ktoś widocznie skuszony wołaniem, postanowił spróbować. Już po pierwszym gryzie, padł martwy na ziemię. Ciarki przeszły mi po plecach. Byłem poruszony. Nie zdawałem sobie dotąd rzeczywiście sprawy, w jak niebezpiecznym miejscu się znajduję.

– Co pan zrobił!? – poderwałem się wstrząśnięty. – Jak śmie pan, sprzedawać jedzenie zatrute arszenikiem!!?

Sprzedawca wydawał się obruszony. – Jak ci się nie podoba, to nie kupuj! – skwitował, z oburzeniem.

Ręce momentalnie mi opadły.

– Niech pan posłucha! – zażądałem i podniosłem martwego, pokazując go biznesmenowi. – To jest efekt pańskiego działania! Ten człowiek umarł z powodu pana nieodpowiedzialności!

– Jak nie chcesz niczego kupić, to spadaj stąd!

– Proszę zobaczyć, to właśnie efekt pana działań! – nie ustępowałem, podsuwając nieboszczka pod sam nos, właściciela kramu.

– Zabierz stąd tego trupa! Ja się nie nabiorę na te wasze sztuczki! Nie wmówicie mi, że ja za to wszystko odpowiadam! Ja tylko sprzedaję swój towar, nic mi do tego jak później zachowują się jego odbiorcy. Mało to świrów na świecie? Co mi do tego, że ten chciał zaraz po spożyciu mojej kanapki, paść martwym?

– On umarł z powodu pana działań.

– Gówno prawda! Umarł, bo chciał sobie umrzeć. Sam odpowiada za swoje zachowanie. Kanapki nie mają tu nic do tego!

– A jednak zginął, bo zjadł zatrute jedzenie.

– Bzdura! Statystyczna korelacja, to jeszcze nie wynikowość. Nie da się naukowo udowodnić, że spożywanie kanapek z arszenikiem, prowadzi do śmierci. Możliwe przecież, że ci którzy zamierzają umrzeć, kupują kanapki, jako swój ostatni posiłek. To więc nie one są złe, lecz sami ludzie są źli, że chcą sobie na środku ulicy, tak nieodpowiedzialnie, paść martwi!

– Tak, ludzie wprawdzie umierają z powodu własnej głupoty, to jednak od was będzie się żądać odpowiedzialności za ich śmierć! – powiedziałem na koniec z naciskiem i rzuciłem na niego ciało, po czym odszedłem stamtąd.

Nie mogłem zmienić całego świata. Liczyłem jednak, że uda mi się zmienić mojego siostrzeńca.

***

Mijały dni. Wszystko układało się dobrze. Pod moją czujną opieką, młody zaczął przybierać na ciele. Ja zaś niestety odrobinę schudłem…

Nauczyłem się już, jak mniej więcej, odnajdywać się w skomplikowanym systemie ojczyzny żywności i zdobywać to, czego potrzebuję. Nieraz jednak zdarzała mi się pomyłka, którą przypłacałem bolesnym skurczem żołądka i obfitymi wymiotami.

Siostrzeniec okazał się wdzięczny za moją pomoc i mogłem teraz uwolnić go, by razem z nim ramię, w ramię, szukać tego, co dobre i pożyteczne. Prawdziwe polowanie.

Słyszałem, że kiedyś ktoś porównał życie do pojemnika, którego połowę zajmował najsmaczniejszy jogurt, a drugą zwykłe gówno. „Naszym zadaniem jest utrzymać łyżeczkę w jogurcie” – wyjaśnił mędrzec.

Nigdy nie podobało mi się takie postawienie sprawy. Jakby celem życia człowieka, było pozostać w korzystnej sytuacji! Czy właśnie nie jest tak, że wiele morderstw, zbrodni i świństw, uczyniono właśnie po to, by nie spaść z piedestału, nie znaleźć się blisko nizin; stracić wygodne i przyjemne życie?

W ojczyźnie pożywienia, byłem jednak gotów zgodzić się z tym humorystą – choć w nieco innym znaczeniu. Właściwie rzecz biorąc nie sposób było tam znaleźć produktu, który w całości nadawałby się do spożycia. Wszystko zawierało, mniejsze lub większe, jady.

Wiedzieć co odrzucić – to wiedzieć jak przetrwać. Najzwyczajniejszy z pozoru baton, mógł być w połowie rzeczywiście pysznym batonem, w drugiej zaś obrzydliwym szaleństwem. Umieć odciąć to, co niewłaściwe i żywić się tym, co pożyteczne, było właśnie prawdziwą sztuką.

Złota zasada pozostawała jednak zawsze niezmienna.

– Błeee… – zwracał właśnie siostrzeniec. – Błeee….

– Niech to będzie dla ciebie nauczką – przypomniałem – nigdy za dużo naraz.

– Ale… – spojrzał na mnie, lecz zaraz opuścił głowę. – Błeee… Ale, to było takie dobre!

– Co z tego, skoro nie potrafiłeś tego strawić? Synu, pamiętaj: „Korzeniem wszelkiego zła jest chciwość". Nigdy za wiele naraz. Bowiem tylko to, co strawne i strawione, syci.

Chwila, w której zapragnąłeś więcej, niż byłeś wstanie połknąć, była chwilą twej porażki. Jeśli rzeczywiście nie chcesz chodzić głodny, musisz nauczyć się powstrzymywać. Pamiętaj o moich słowach, nawet wtedy, gdy mnie już przy tobie nie będzie.

***

Nadszedł w końcu czas rozstania.

– Może zostaniesz jeszcze, chociaż jeden dzień.

– Nie, pora już na mnie – odpowiedziałem. – Niczego nie można przedłużać w nieskończoność. Spełniłem swoją misję, dotrzymałem przyrzeczenia, mogę odejść w spokoju…

– Poczekaj! – zawołał na koniec za mną. – Powiedz mi proszę, jeszcze jedną rzecz: jaki jest tego wszystkiego sens?

Zawahałem się. – Nie sądzę bym był upoważniony do odpowiedzi na takie pytanie…

– Bądź, co bądź, jedno jest pewne, nie można żyć dla ciągłego jedzenia, prawda? To nigdy nam nie wystarczy…

– Nie, nie można – odpowiedziałem.

– Więc, jaki tego sens? Powiedzmy mi, jak ty to widzisz. Dlaczego żyjesz? Jaki jest twój cel?

Zmieszałem się trochę. Ten mały szkrab, przekroczył moje najśmielsze oczekiwania. Trafił w samo sedno.

– Wiesz… – zacząłem niepewnie. – Wiesz, co to jest marzenie?

Kiwnął nieznacznie głową. Uśmiechałem się, a w mych oczach pojawił się długo skrywany żar. Nie potrafiłem mówić o tym, bez zapału i zupełnie dziecięcej radości. Wszyscy musimy mieć coś, co porusza nas do życia, jakiś mały punkt, absolutną i niepodważalną świętość, która stanowi o naszym życiu. Moim było marzenie.

– Więc powiadają, że gdzieś daleko, a jednak blisko. Gdzieś między niebem a ziemią, jest COŚ. Za górami, za lasami, między strumieniami i rzekami, pośród gór i na dnie oceanów, gdzieś na pewno JEST.

– Co jest? – zapytał.

– Składnik cudowny, ponad wszystko inne. Pokarm, który raz spożyty, sprawia, że człowiek nigdy więcej nie odczuwa głodu – moje oczy zrobiły się rozmarzone. – Coś, co prawdziwie syci na wieki.

Moim marzeniem jest go odnaleźć.

– Czekaj! – zawołał jeszcze za mną, gdy już odchodziłem. – Jak się nazywa ten pokarm?

…

– Nazywają go Bogiem! – krzyknąłem z daleka, rozpływając się we mgle. Rozpierało mnie szczęście. Wyruszałem w podróż, by spełnić swoje marzenie.

[KONIEC]

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Ten_Smiertelny, dodano 07.02.2018 19:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.